NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 44. DETROIT, MICH., 3-go LIPCA 1892 ROKU. TOM II.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczyslaw Barabasz.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

3	Lipca	N.	Heliodora B.
4	,,	P.	Józefa Kalas
5	,,	W	Wilhelma Opata
6	,,	Ś.	Izajasza Pror.
7	,,	C.	Klaudyusza M.
8	,,	P.	Elżbiety Kr.
9	,,	S.	Zenona M.

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Stanach Zjedn.	Rocznie	Półr.	Kwart.
	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Rękopisów drobniejszych Redakcya nie zwraca.

MATKI! OJCOWIE!

MÓWCIE Z DZIEĆMI PO POLSKU!!

OD REDAKCYI

☞ Przedpłatę na „Niedzielę" i dokładne adresy wysyłać należy do Seminaryum Polskiego w Detroit, pisząc:

Office of „NIEDZIELA"
Polish Seminary.
DETROIT, MICH.

☞ Piszcie, o ile można, czytelnie. ☜

Łaskawego pośrednictwa w odebraniu przedpłaty na „Niedzielę" podjęli się następujący panowie:

W Detroit, Mich., Pan Władysław Maior, 781 St. Aubin Ave.
„ „ „ Jan Lemke, 823 St. Aubin Ave.
„ „ „ J. Piotrowski, 302 Canfield Ave. E.
„ „ „ Michał Pranga, 101 St. Joseph St.
„ „ „ Wojciech Siwa, 724 Riopelle St.
„ „ „ Emil Makowski, 790 Dubois St.
Milwaukee, Wis., „ M. Szarzynski, 414 Mitchell Ave.
E. Saginaw, Mich. „ Ignacy Poplewski.
„ „ „ „ Franc Mordec, Perkins St.
Lemont, Ill. „ Piotr Maday.
Elmira, N. Y. „ M. Budzikowski, 266 W. Hudson St.
Chicago, Ill. „ Adam Majewski, 664 Noble St.
Cleveland, Ohio, „ J. Malkowski, Woodland Cem. Office.
South Bend, Ind., „ Michał Duszyński, 1501 Fisher St.
Posen, Mich., „ Albert Klimaszewski.
Baltimore, Md., „ I. K. Zantó, 817 St. Ann St.
Buffalo, N. Y., „ A. Nowak, 1210 i 1212 Broadway St.
„ „ „ „ Antoni Chajewski, 39 Townsend St.
„ „ „ „ Leonard J. Kujawski 356 Peckham St.
Williamsbridge, N.Y. „ Franciszek S. Jarmuż.
W Duluth, Minn. „ Ignacy Idziorek, 1 W. Superior St.
„ Bay City, Mich. „ Michał Wojciechowski, 19th & Farragut
Grand Rapids, „ „ W. Dzieniszewski, 123 Jefferson St.
Brooklyn N. Y. „ Fr. Kuliberda 400 Carlton St.
Cleveland, Ohio. „ F. C. Kopciński 17 Dodge St.

☞ Ktoby życzył sobie w innych Stanach i Miastach podjąć się łaskawego pośrednictwa i bratniej usługi w tym względzie — niech raczy zgłosić się do Redakcyi listownie.

CZAS KOLEJOWY.

Wszystkie pociągi odchodzą według czasu kolejowego (standard time) t. j. 28 minut później niż czas Detroicki.

DETROIT, LANSING & NORTHERN KOLEJ ŻELAZNA. Stacya w Detroit przy końcu ul. Trzeciej.

Trzy eleganckie pociągi do Grand Rapids i nazad codziennie wyjąwszy niedzieli. Pięć pociągów Expresowych do Lansing iz powrotem codziennie wyjąwszy niedzieli. Wychodzą z Detroit rano o godz. 7.05—10.50. Po południu o g. 1.15; 4.50; 5.40—łącza się na Union Depot w Grand Rapids z Koleją CHICAGO & WEST MICHIGAN.

Pociągi z Grand Rapids odjeżdżają do Chicgago rano o g. 9.00 w południe o g. 12.05 i o g. 11.35 w nocy.—Czas podróży 5 godzin i 15 minut. Pociąg odchodzący z Grand Rapids o godz. 11.35 w nocy codziennie ma bez zmiany wagony sypialne, które przychodzą do Chicago o godz. 7.05 rano.

Pociąg wychodzący z Detroit o g. 1.15 po poł., przybywa do Grand Rapids o g. 5.15 wieczorem—zaraz się łączy z pociągiem C. & W. M. i przybywa do Manistee o g. 10.20 w nocy—do Traverce City o g. 10.59 w nocy—do Elk Rapids o g. 11,59 w nocy; do Holland przybywa o g. 6.25 po poł.; a do Muskegon o 7.35 wieczorem.

SAGINAW VALLEY & ST. LOUIS jest najkrótszą linią pomiędzy Grand Rapids i Saginaw. Pociągi odjeżdżają z Grand Rapids o g. 7.20 rano i o 4.15 po poł. Odchodzą z East Saginaw o g. 7.35 rano i o 5.55 po poł. Podróż trwa 4 g. i 15 m.

Wm. A GAVETT Agent Generalny w Detroit. Bióro biletów (Ticket Office) i towarowe znajduje się w gmachu zwanym Hammond Building—na dole numer 120 przy ul. Griswold—inne wejście jest także od ul. Fort. Telefon 368.

CHAS. M. HEALD, Gen. Mgr. w Grand Rapids.

GEO. DeHAVEN, Gen. Pass'r. Agent w Grand Rapids.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

Nr. 44. DETROIT, MICH., 3-go LIPCA 1892 ROKU. TOM II.

Redaktor. Ks. Dr. Mieczysław Barabasz.



...... nad głową Elżbiety zajaśniała światłość niebieska....

(patrz n. 43 str. 514 szpal. 2).

Z SIEWÓW NIEDZIELNYCH.

O samolubstwie.

przez Ks. K.

„Kto miłuje duszę swą, traci ją; a kto „nie nawidzi duszy swej na tym świecie, „ku wiecznemu żywotowi strzeże jej.“ Jan. 12, 25.

W tych słowach zamyka się wielka mądrość Świętych, cała filozofia chrześciańska, która się ma iścić aż do końca świata: zaprzeć samego siebie, opuścić wolę swoją a poddać się woli Bożej, nie chodzić za namiętnościami ciała, poskramiać miłość własną, a naśladować Jezusa Chrystusa! Słowa te bowiem tak wykłada św. Chryzostom: ,,Kto żyje w nieporządnej miłości samego siebie, stara się tylko o przypodobanie sobie, o posiadanie wszystkiego dla siebie, a nie żyje w Bogu i dla Boga, ten zginął na wieki. Przeciwnie kto żyje w zaprzaniu samego siebie, poskramia swą miłość własną, stara się tylko o przypodobanie Bogu i chwałę Jego, ten żywot wieczny otrzyma.'' Twardą zdała się ta nauka poganom, przeto tak powstawali przeciwko wierze chrześciańskiej. ,,Bo cóż innego umiał świat pogański (pisze św. Grzegórz) krom tego, że usiłował aby tylko co posiadać na tej ziemi, posiadanego bronić, wydzierać cudze jeśli się dało, jeśli się nie dało—pożądać i zazdrościć. Na tę chorobę Boski prawodawca nowe prawo i nowe wynalazł lekarstwo:,,kto nie odstępuje wszystkiego co ma, nie może być uczniem moim (Łuk. 14, 33).'' Przeciw tej nauce zżymali się faryzeusze i woleli w grzechu umierać, niżeli ugiąc karku pod jarzmo chrześciańskie. Wiecież teraz, Czytelnicy, dlaczego to świat dzisiejszy tak groźno powstaje na Kościół, na Ojca św., na katolicyzm, na zakony, na księży? O bo mu za twardą ta nauka Chrystusowa; bo ten świat innej chce nauki; on chce posiadać wszystko, dogadzać swej woli, a usty się chlubić, że idzie za Chryztusem. A Chrystus żąda opuszczenia siebie, zaprzania miłości własnej, poddania rozumu pod objawienie Boże, ugięcia woli pod Boże prawo. I stąd ta walka i dla tego zżyma się przeciw Chrystusowi świat, a Chrystus jednej joty nie cofnie. A świat przemija, a słowo Chrystusowe trwa na wieki. Dwom panom służyć nie można. Można się zamknąć w murach klasztornych, a nieposkramiając miłości własnej niebyć uczniem Chrystusowym; tak znowu, przeciwnie, można żyć na świecie w obowiązkach i stosunkach towarzyskich, a przytem uskramiać dla Chrystusa miłość własną.

Wglądnijmy w dzieje tegoczesne, przebieżmy myślą oświecone Europy kraje, rozglądnijmy się w tem, co się w Ameryce około nas dzieje, a wszędzie usłyszymy, że jakiś postęp, cywilizacya coraz więcej zbliża się do nas. Na jej chorągwi stoją napisy: oswobodzenie pracy, wyzwolenie nauki, wyjarzmienie szkoły, oswobodzenie rodziny. Wszystko woła: Wolności—precz z więzami, wolności sumienia, człowiek wolny stworzony do szczęścia ziemskiego. Fabryki, koleje, telegrafy, to jego dzieła; o to się jedno ubiega, aby gromadził pieniądz; w pieniądzu rozum, w pieniądzu szczęście, rozkosze, zbytki, przyjemności. Każdy myśli o tem, aby mu było dobrze, każdy pnie się, aby coś znaczył, aby się czemś wsławił. Każdy chce być pierwszym, a nikt w niczem drugiemu nie ustąpi. ,,Ja król ziemi!'' woła każdy, a wyszedłszy na ulicę, co krok spotyka takiego drugiego króla; pycha w jedwabiach, pycha w łachmanach, pycha w żaku szkolnym—stąd walka o pierwszeństwo. Cóż to za objaw smutny? Ta dżuma cywilizacyjna — to córa lucypera. ,,Nie będę służyła, wywyższę stolicę moją po nad gwiazdy Boże'' (Jer. 2, 20). ,,Wstąpię na wysokość obłoków, będę podobny Najwyższemu" (Izaj. 14, 13). To jędza z piekła rodem, która wszystko złe na świat sprowadziła, co wyrzekła do Ewy: Nie słuchaj, nie wierz—nie umrzesz, będziesz boginią, będziesz znać wszystko dobre i złe. A imię jej? — To szkaradne s a m o l u b s t w o, na które język polski nie ma samorodnego wyrazu, lecz pożycza go u obcych: to e g o i z m, s o b k o s t w o, to przebrzydła nieporządna miłość własna zawładnęła więcej niż kiedy sercami ludzkiemi.

Toż więc nie wolno, zapytacie — miłować samego siebie? na cóż Chrystus Pan wyraźny dał rozkaz: Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego? — I owszem, wolno jest, tak Chrystus przykazał, to jest ścisłym każdego chrześcianina obowiązkiem, miłość siebie jest prawidłem i miarą miłości bliźniego. Lecz inna to wcale jest rzecz miłować siebie tak jak Bóg przykazał, a co innego jest samolubstwo. Masz jednę tylko duszę, tak drogą duszę. Bóg ją tak wielce ukochał, kochaj więc twą duszę, abyś ją wiecznie zbawił, strzeż ją od grzechu, a jeśliś zgrzeszył, oczyść ją rychło w Sakramencie pokuty. Staraj się o dobre imię, nabywaj potrzebnych wiadomości; ale co ważniejsza, wzrastaj w wierze, nadziei, miłości; pracuj też na życie doczesne, dbaj o zdrowie ciała twego, boć jest narzędziem i mieszkaniem duszy, przybytkiem i kościołem Ducha św. nie kalaj go występkami, gdyż je Bóg wskrzesi do chwały wiecznej; ale wiedz o tem, że dusza panią a ciało sługą być winno; ciało ma słuchać duszy, dusza Boga! to znaczy po chrześciańsku miłować siebie, jeśli prawdziwego pragniesz szczęścia, znajdziesz jedynie w miłości Boga; miłując Boga nadewszystko a bliźniego dla Boga, najlepiej przeto ukochasz siebie, dostąpisz niezawisłej wolności ewangielicznej.

Przebrzydłe zaś samolubstwo jest nieporządną miłością samego siebie, we wszystkiem ma jedynie siebie na oku, na celu, na pamięci, własne dobro, zysk własny, interes, korzyść. Zamiast czynić wszystko na chwałę Boga, szuka we wszystkiem swojej

chwały; zamiast upatrywać pożytku bliźniego — miłuje tylko własne wygody, własne szczęście; nic go nie obchodzi, że bliźni z głodu mrze, byleby on miał pod dostatkiem wszystkiego. Boga jeśli się zdaje kochać, to chyba tylko dla tego, że mu szczęścia użycza; jeśli go o co prosi, to tylko o doczesną szczęśliwość; jeśli się go boi, to dla tego, aby nań nie zesłał jakiego nieszczęścia. Jeśli komu co uczyni dobrego, to tylko w nadziei, że mu się bliźni odwdzięczy, odsłuży z procentem; jeśli kocha przyjaciela, to nie dla Boga kocha, lecz raczej siebie kocha w przyjacielu. Samolub uważa siebie za oś (centrum), sądzi że wszyscy stworzeni są dla niego, on ma ich wszystkich za środki a siebie za bożka! Obraz samolubstwa z zgubnymi skutkami skreślił Paweł św. (II Tim. 3): ,,W ostatnie dni nastaną czasy niebezpieczne; będą ludzie sami siebie miłujący, chciwi, hardzi, pyszni, bluźnierce, rodzicom nie posłuszni, niewdzięczni, złośnicy, bez miłości przyrodzonej, bez pokoju, potwarcy, niepowściągliwi, nieskromni, bez dobrotliwości, zdrajcy, uporni, rozkosze więcej miłujący niż Boga; mający wprawdzie pozór pobożności, lecz się mocy jej zapierający. I tych się chroń!" Czyliż na nas (broń Boże!) przypadły te niebezpieczne czasy, czyliż to mają być już ostatnie dni? Ażaliż ten obraz miłości własnej z całą jej ohydną czeredą, rodziną i czeladką nie daje się jawnie spostrzegać za dni naszych? — Nie patrzę na świat przez czarne szkło, nie mówię, żeby już nie było na świecie dobrych katolików, lecz powiadam, że nasienie zgubne szatańskie, ten kąkol nieprzyjaciela zasiany ręką, szeroko się rozrósł i obfite niestety wydaje za dni naszych owoce.

Pójdźmy od domu do domu, przetrząśnijmy wszystkie warstwy społeczeństwa, wszystkie stany i wieki, a znajdziemy młodzież, mężów, kobiety, starców mniej więcej hołdujących miłości własnej. Nic dziwnego, Czytelnicy, bo jeden tylko Zbawiciel, nasz Jezus Chrystus, wolnym będąc od zmazy grzechu pierworodnego i Niepokalanie poczęta Matka Jego, będąc w pierwszej chwili poczęcia swego uwolnioną od niej, wolni byli od troistej pożądliwości. Wszyscy inni święci musieli z nią walczyć przez całe życie. Wskutek to nieszczęsnego upadku pierwszych rodziców nastąpil ten nieład w człowieku, iż zamiast co dusza ma panować ciału a duszy Bóg, jak było przed upadkiem, — to ciało rozkazuje duszy, a dusza mając rozum osłabiony, a wolę sklonną do złego, idzie w służbę i niewolę ciała i świata; ta niebianka przeznaczona do królowania tu i w chwale wiecznej—pełza na usługi robactwa i gnoju—z pogardą Stwórcy, ze zhańbieniem siebie, z pogardą wiecznej chwały. ,,O cóż za okropne odstępstwo od dobra najwyższego, a skierowanie ku dobru znikomemu, woła ś. Tomasz z Aquinu; cóż sprawiedliwszego, niż to, że za takie odstępstwo wieczna nastąpi kara, bo wieczna utrata Boga!" Tego nieładu Bóg nie jest twórcą, lecz szatan jest sprawcą; a lubo Jezus Chrystus nas odkupił i zbawił, chciał jednak Bóg, aby na nasze ukaranie jako i na naszą zasługę ten ciągły nieład w nas pozostał. ,,Widzę inny zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysły mojego i biorący mnie w niewolę. Bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, to czynię." (Rz. VII, 33). Pożądliwość ta, jak uczy kościół św., nie jest wprawdzie grzechem, ale że niebacznych, idących za jej podszeptem, wiedzie do grzechu, że z grzechu powstała, więc się zowie złą pożądliwością; idąc za nią przechodzi się w żądzę, wyższy stopień zowie się afektem, jeszcze wyższy przywiązaniem, nałogiem, namiętnością! Onato pobudza nas naprzód do zaspokojenia potrzebnych, potem przyjemnych rzeczy, nareszcie do zaspokojenia wymyślnych przyjemności, do rozkoszy. I tak nieznacznie lgnie serce do nich, a gdzie skarb tam i serce będzie. Gdzież na to środek i lekarstwo?—,,Nieszczęsny ja człowiek, kto mię wybawi od ciała tej śmierci?" wzdycha Paweł św. i odpowiada sobie: ,,Łaska Boża przez Jezusa Chrystusa P. N." Przykład Chrystusa, zaprzanie samego siebie, noszenie krzyża na każdy dzień—to talizman, to wielka zagadka, to całe zadanie życia. ,,Bojowaniem jest życie nasze na ziemi." Nie rozum ludzki, bo rozum skażony; nie sumienie, gdyż ono niczem innem, jedno głosem praktycznym rozumu, a więc stronnicze, dające się uwieść tam i sam, dokąd go jego prawodawca rozum powiedzie.— Kiedy rozpocząć tę walkę? Oto zaraz póki dziecię jeszcze u piersi matczynej. Najprzód matki obowiązkiem jest, przyuczać je do zaprzania woli, łamania uporu; potem szkoła katolicka prowadzi dalej to dzieło. Następnie kościół, matka, ze swemi praktykami i łaskami. — Religia bowiem katolicka, zakon nowy, stoi na zaprzaniu siebie, na ciągłych poświęceniach się i ciągłej ofierze, ofierze najszlachetniejszej, bo poddaniu woli swej pod posłuszeństwo prawom Bożym, aż do opuszczenia siebie, aż do naśladowania Chrystusa.

Czy tak się dzieje?—O gdyby tak było, dziękowalibyśmy Bogu! Ale, niestety, dzieje się zwylke inaczej. Matka częstokroć zbyt pieści swe dziecię; bo i któż tak kocha jak matka; któż dziecku matczyne zastąpi serce? Lecz ta niewiasta, co zbyt pieści dziecię, raczej kocha siebie w dziecięciu, nie kocha w niem Boga; nie kocha duszy dziecięcia, lecz kocha w niem swoje ciało i krew; bo stoi w piśmie św. ,,kto miłuje swe dzieci, ten je ustawicznie ćwiczy." A że ślepo kocha w dziecięciu siebie, więc mu niczego nie odmawia, gdyż przez to musiałby i sobie zadać umartwienie. I cóż za tem idzie? Dziewczynka, zaledwie podrosła, zaczyna chodzić do szkoły, jeszcze się nie nauczyła katechizmu, a nieraz własna matka ją psuje, bo podsyca miłość własną; to stroi nad stan, to chwali mówiąc jej w oczy: tyś taka piękna! tyś taka mądra! Skończyła 3 lub 4 lat szkoły, o nic się tak nie troszczy jak o ubiór modny, świecidełka, pstrociznę, pachnidła; dla czego? aby się podobać, na gwałt się podobać, być widzianą, chwaloną, podziwianą — podobać się i koniec. A tu świat, acz nie dobry, patrzy na majątek, ród, a wreszcie na cnotę, zalety serca, przymioty duszy, pracowitość. Tymczasem w głowie pusto, w sercu czczo, robót się nie zna jak powinno, a może nie lubi jak należy; matka lamentuje, od ust sobie odejmuje, a córka się dąsa, chciałaby się tylko stroić i bawić, niższemi pogardza, wyżsi z niej się śmieją, niżsi od niej stronią. Dokąd prowadzi ta samowola? Matki starej się nie słucha, rządzi się kaprysem lub uczuciem, a uczucie bez doświadczenia, bez zdrowego na rzeczy poglądu, bez zasad karności —jest ślepe, a koniec samowoli, utrata wstydu,—odda się rękę temu, kto się pierwszy nawinie, choćby i ślub cywilny chciał tylko zawrzeć. Wzdryga się jeszcze sumienie, radeby jeszcze powrócić na drogę dobrą, lecz miłość własna mu szepcze: cóż świat na to powie?—I jakiż pytam koniec? Nieszczęśliwa! — A matka?—Także nieszczęśliwa!!

(Dokończenie nastąpi.)

NA WĘZEŁ OJCZYSTY.

Trybunał Lubelski.

Król Stefan Batory był równie wielkim wojownikiem jak i rządcą. Wiele dobrego myślał zrobić dla kraju, a mając silną wolę i głowę po temu, a do tego miłość w narodzie, byłby przeprowadził, co zamierzał, lecz go śmierć zawcześnie zabrała. Jednakowoż nie wszystkie jego zamysły poszły w niwecz; niektóre zostały i nadal.

Dawniej sądy należały do królów. Sądził król na sejmie w obec zgromadzonych senatorów i posłów z rycerstwa. Ale to zabierało wiele czasu, a zdarzało się nieraz, że sprawa długiego potrzebując wywodu, należycie rozpoznaną być nie mogła. Aby więc zapobiedz niesprawiedliwości i czas na insze rzeczy obrócić, postanowił król niektóre sprawy oddać jednemu wielkiemu sądowi, któryby był najwyższą instancyą w kraju.

Myślał sobie król: państwo stoi na sprawiedliwości; za krzywdę jednego mieszkańca pokutowali nieraz wszyscy, a trzeba, aby każdy był pewien swego życia, mienia i majątku, inaczej przepadnie wszelki instytut. Lecz do tego trzeba także, aby taki sąd, któryby ostatecznie wyrokował, miał powagę, a na to nie dość, iż by się składał z samych tylko wyćwiczonych w prawie, ale żeby doń wchodzili ludzie, dla których każden czuje uszanowanie i wiarę. Rozkazał więc, aby obywatele z pomiędzy siebie wybierali członków tego sądu, których zwano później deputatami; sam zaś sąd, że był naznaczony w Lublinie, zwał się Trybunałem Lubelskim i odbywał posiedzenia z wielką uroczystością co rok.

Na sercu naszem wyrył Bóg prawo; tego się też naprzód trzymano. Ale kiedy źli ludzie poczęli nadużywać dobrej wiary drugich i na świadectwo fałszu odwoływali się do sumienia, którego nie mieli, działy się wielkie nadużycia. Chciano im położyć koniec i wymyślono przepisy i powiedziano: co jest według nich uczynione, to będzie uważane, że jest według prawa, a to, co nie, to nie. Lecz źli ludzie nauczyli się prędko, jak podchodzić te przepisy i jeszcze zręczniej oszukiwali drugich. A tak złemu nie było końca i nie będzie, dopóki wszyscy nie będą się rządzili według prawa, które Pan Bóg wypisał na sercu człowieka.

Ten trybunał Lubelski miał swego marszałka, prezesa i wiceprezesa. Marszałkiem bywał zwyczajnie możny pan, bo dla utrzymania powagi i dostojeństwa, musiał żyć z wystawą, a pojmujecie, że ludzie wybrani na deputatów, już się bardzo czuli wynagrodzeni zaufaniem mieszkańców, aby mieli się domagać zapłaty. Zresztą nie potrzebowali jej, bo wybierano na deputatów szlachtę osiadłą, co mogła kęs chleba i czasu swego ku pospolitemu dobru obrócić. Otóż przez długi czas trybunał Lubelski był wzorem wszystkich sądów. Deputaci, skoro przyłożyli rękę do serca i powiedzieli: ,,tak" to pewno było tak, a wszyscy wiedzieli, że ich zdaniem nie kieruje żaden wpływ poboczny, interes, sympatya lub niechęć dla drugiego, co wszystko naówczas zwano prywatą.

Ponieważ trybunał wyobrażał jakoby światło, które odróżniało prawdę od fałszu i sprawiedliwość od niesprawiedliwości, a miał przez to w swem ręku cząstkę tej władzy, która do majestatu panującego należy, zwano go przeto najjaśniejszym. Taką zaś otaczano powagą, że ktoby się w miejscu i czasie jego urzędowania dopuścił jakowej zbrodni, uważano go jako obrażającego majestat królewski.

Powiedziałem, iż przez długi czas trybunał zasługiwał na tę cześć. Ale kiedy obyczaje w narodzie psuć się poczęły i z serc wypędzono bojaźń Boga i miłość powszechnego dobra, a o godności tylko tyle dbano, ile z nich własną można było ciągnąć korzyść, to też i trybunał, zdarzało się, nie był takim sądem, jakim go chciał mieć Batory i jakim go przez półtorasta lat widziano. Szlachta wybierała zawsze deputatów, lecz jacy wybierający, tacy i wybierani. Wkradła się rozpusta, interes własny przemógł nad sprawiedliwością, jakby komu niesprawiedliwość wyszła kiedy na dobre, i sumienność sędziów przemieniła się w przedajność. Było to nietylko nieuczciwie, ale i niemądrze, bo gdzie nie jest pewnym sąd, tam jest niepewnym wszystko. Zbytki i rozrzutność musiały przywieść do zbrodni, do przedajności; bo choć deputaci byli ludzie zamożni, ale rozrzutnemu zawsze mało.

Owoż w czasach takiego upadku, zdarzyło się, że pewna wdowa uciśniona procesem z człowiekiem możnym, a nie zawsze prosto chodzącym, proces ten w trybunale przegrała i straciła wieś jedyną, z której żyła sama z drobnemi dziećmi. Dopust Boży pomścił się jej krzywdy! Rozżalona niesprawiedliwością trybunału, zawołała w obec deputatów:

— A żeby mnie też djabli sądzili, toby wyrok był sprawiedliwszy! — Ciężka to rzecz, coś podobnego w sądzie powiedzieć; poczciwa kobieta narażała się na karę według statutów, ale boleść nie zna statutów, a panowie deputaci mając jeszcze w kieszeni ciepłe pieniądze, które od przeciwnika wzięli, ze wstydu nie śmieli się odezwać; połknęli przykre słowo i pojechali na obiad do pana marszałka. Został tylko pisarz, który wyrok przeciw wdowie redagował czyli spisywał i do akt zaciągał.

Nim się jeszcze z tą pracą uwinął, posłyszano turkot na ulicy. Zajeżdżały przed pałac kareta za karetą i z każdej wysiadali nieznani panowie czarno ubrani i w niemieckim stroju. Na głowach mieli trójgraniaste kapelusze, u boku szpadę. Nie zatrzymując się, poszli wszyscy na górę do sali sądowej. Spojrzy na nich pan pisarz; zdrętwiał ze strachu, bo z pod sukni każdemu wisiał ogon, a zamiast stóp i rąk mieli kogucie pazury. Chciał się podnieść, ale najstarszy z djabłów (bo to byli djabli), co usiadł na krześle prezydującego, kazał mu pozostać i wezwał woźnego, także djabła, aby sprawę wprowadził.

Słucha pan pisarz, oczu nie śmiąc podnieść, co to z tego będzie. Aż tu występują djabelscy adwokaci, a woźny krzyczy na głos: Sprawa wdowy tej a tej, z panem tym a tym; taż sama właśnie, którą trybunał dopiero co osądził niesprawiedliwie a pan pisarz śpieszył się z wyrokiem, bo był naprzód zamówony i dobrze zapłacony.

Większe było jeszcze jego podziwienie, kiedy ci adwokaci z pazurami tak gruntownie i z taką znajomością prawa dowodzili, na jakąby nie było stać najpotężniejszego mecenasa w Koronie i Litwie. Skończył jeden, zaczyna drugi, a djabli z największą w świecie powagą słuchają. Toć to dopiero cuda wymowy! jeden po drugim dowody zbija, wykrętne wykazuje rozumowania, obejścia, podstępy i prawdę, jak się miała, wyświeca. Przypomina wszystkie okoliczności, o których nawet wdowa sama nie wiedziała, i jakby co dopiero wstał od konfesyonału, przy którym się strona przeciwna spowiadała, opisuje wszystkie szacherstwa, których się dopuszczano i wylicza kwoty, jakie deputaci pobrali, nie wyjmując nawet pana pisarza.

Byłoby ztąd wielkie zgorszenie i powaga trybunału przepadłaby na zawsze; lecz na szczęście, po skończonem posiedzeniu pierwszem, rozeszli się wszyscy słuchacze, nie spodziewając się tak niezwykłej sessyi. Obaj adwokaci pokończyli swe wywody i prezes zadzwonił, a woźny zawołał: „na ustęp!"

Nie długo trwała narada, przyzwano strony i pan pisarz musiał odczytać wyrok, który mu gwałtem podyktowano, a był najsłuszniejszy w świecie, kasujący uchwałę trybunału, przyznający wieś wdowie, skazujący przeciwnika na koszta procesu i zwrot innych należytości. Po odczytaniu wyroku, prezes i sędziowie w miejsce podpisów lub pieczęci, wypalili na akcie kogucie pazurki i rozeszli się.

O ZŁOTYCH TŁACH.

BAJKA.



Ropucha.

Rozważ wprzód dobrze z kim się chcesz mierzyć:
Sprosna ropucha, wzdęta i nabrzmiała,
Z bagniska jadem pryskała.
Jaś ją chciał kijem uderzyć,
Gdy wtem: stój chłopcze! krzyknie „wąsal" stary,
Na co ci głupio się kazić?
Aby dosiądz tej poczwary,
Trzebaby w błoto jej włazić.

Halusia.

(Pastuszka gąsek.)

Tam daleko, blisko Krakowa, na granicy ziemi naszej, u stóp Karpat, płynie bystra rzeka Skawa, a nad rzeką Skawą rozłożyła się śliczna dolina, a w tej dolinie wznosi się piękne wzgórze, niby strojna królowa owej doliny.

Dawno temu, bardzo dawno, stała piękna wioska na tem wzgórzu, wśród zielonej doliny nad modrą rzeczką Skawą, u stóp twardych Karpat. Już tego nie pomnę, jak się owa wioska nazywała, wiem tylko, że nie było w niej wspaniałego gmachu, ni starego zamczyska, ni wielkiego ogrodu, ni białego dworca. Stały tam same wiejskie tylko chaty między zielonemi lipami, jabłoniami i gruszami.

Na końcu wioski stała najwyższa chata; przed nią rosła zielona lipa, pod którą dzieci się pod wieczór bawiły, za chatą stała stodółka i obora, a tam dalej sadek i pasieka, do której pszczoły miód znosiły z lip i z kwiatów na zielonej dolinie rosnących. Na podwórku stoją dwa wozy, pług, radło i brony, przed stodołą cepy i szufla, w oborze dwie krówki, dwie jałowice, cztery wołki w jarzmie i trzódka owiec. W ogródku kwitną maki, paznogietki, zieleni się pietruszka i marchew, za ogródkiem na murawie bielą się półki płótna, a nad wodą po łące stąpają bociany.

Między ogródkiem, sadkiem, murawą, pod cieniem starej lipy wygląda z zieleni chata, z sutem poszyciem ze słomy, z okienkami czystemi, z ścianami wybielonemi. W owej cichej chatce szczęśliwa mieszkała rodzina. Ojciec był wiekiem poważny, postawą silny, męzką pięknością ozdobiony; czarne włosy na ramiona mu spadały, a czarny wąs zdobił męzką twarz jego. W młodości służył wojskowo, to też odwaga w oczach mu świeciła; po wojnie chwycił się pługa i pracowicie odtąd rolę uprawiał, to też praca go odtąd zdobiła.

Poczciwy gospodarz miał wierną żonę a rzędną gospodynią. Była ona młodszą od niego, to też jeszcze hoża i dorodna, ubierała się czysto, a w święto i Niedzielę strojnie występowała.

Pracowitym a cnotliwym tym ludziom Pan Bóg błogosławił i dał im sześcioro zdrowych dziatek; wszystkie podobne do siebie niby kropla do kropli, wszystkie rumianego lica, pięknych czarnych oczu, ciemnych włosów.

Dziatki wesoło uwijały się około ojca i matki, szczęśliwe były w cichej chatce, rozkosznie bawiły się pod starą lipą przed domem, albo na zielonej murawie nad wodą.

Chłopięta, chociaż jeszcze drobne, ojciec zaganiał już do roboty i brał z sobą w pole. Matka w domu drobne rączki maleńkich dziewczynek składała co



4 LIPCA W AMERYCE.



SAMSON I DELILA.

rano i wieczór do paciorka, przykładała paluszki do igiełki i do przędzenia.

Tylko najmłodszej dzieweczki matka jeszcze nie uczyła ni paciorka, ni obchodzić się z igiełką, z kądzielą; mała dziecinka jeszcze śpi w kołysce i w kołysce się bawi. Matka i ojciec sercem się radują, gdy na dziecinę swą patrzą, bo gdy się uśmiechnie, to tak pięknie, że nie wiedzą, czy to aniołek się uśmiecha, któremu skrzydełek nie widać, czy też do aniołków w niebie się uśmiecha. Mało mówi cudowna dziecina, tylko od rana do nocy biega za matką, uważając, coby jej podać, w czemby jej pomódz, coby jej przynieść. Gdy ojciec wraca z pola od pracy, dziecina ku niemu wybiega, mile do niego się uśmiecha, ławeczkę do wypoczęcia podaje, przynosi co może i służy jak może i robi ile podołają drobne rączęta. Braciom i siostrom we wszystkiem ustępuje, wszystkiem się z nimi dzieli, a gdy się bawią ochoczo pod lipą, ona biegnie pomagać matce do wieczerzy. Czeladce przy pracy przyśpiewuje pobożne piosenki, łagodnie z wszystkimi rozmawia, albo ochoczo w pracy im pomaga. To też wszyscy ją kocają, wszyscy z nią bawić się lubią, wszyscy sobie mówią: oby się tylko wychowała ta śliczna dobra dziecina!

W owej cnotliwej a pracowitej rodzinie każdy miał wyznaczoną pracę. Najmłodszemu synkowi kazała matka pasać stado gęsi nad rzeką; ale chłopiec był niebaczny, nie pilnował dobrze gęsi, zawsze mu się rozpierzchły po polu, albo spłoszyły, a nie umiał ich potem zwołać, zgromadzić i do domu spędzić; więc matka się często umęczyła, a niekiedy i nagniewała. Ale dobra maleńka siostrzycka zawsze za brata matkę przepraszała. Przy niepilnym chłopięciu gęsi zupełnie zdziczały, daleko od domu odlatywały i zawsze gdzieś tam nad wodą siadywały. Więc pewnego razu, kiedy matka na chłopca bardzo się ugniewała, mała dziewczynka stanęła przed matką, złożyła drobne rączki i proszącemi słowy tak rzekła:

,,Moja mamusiu, pozwólcie mi, że ja teraz będę gąski pasała."

Matka: ,,Moje dziecię, a któż ci je nawracać będzie?"

Halusia: ,,Mamusiu, ja sama będę gąski nawracała, już ja zawsze pilnie za niemi będę chodziła, żeby mi się nie rozbiegały."

Matka: ,,Ale, moje dziecię, gąski tak się już znarowiły, tak już zdziczały, że tybyś im rady nie dała."

Halusia: ,,Ja tak kocham Pana Jezusa i tak go będę prosiła, żeby mi się nie rozbiegały, że przy jego pomocy dam im radę."

Tak lubej i dobrej dziecinie odmówić matka nie może. Boso i w białej koszulce wygania więc Halusia co dzień gąski w pole, chodzi za niemi z gałązką leszczyny lub czeremchy, niby z berłem swojem, a gąski powolne, jakby je ręką przewrócił, nie uciekają i przed mrokiem spokojnie wracają do domu z swą pasterką.

Już od kilku dni co rano przed wschodem słońca wstaje mała pastuszka, bierze zieloną gałązkę leszczyny w rękę i pędzi gąski w pole nad wodę. Sama teraz przebywała dzień cały tam daleko od domu, na polu; tęskno jej było w tej samotności za matką, za ojcem, za domem; piękna jej twarzyczka zasmuciła się od tęsknoty, przytem i dnie były pochmurne, nie wesołe.

Siódmego dnia bardzo rychło pędzi Halusia gęsi w pole; jeszcze jutrzenka ślicznie świeci na niebie, różowe roztacza promienie i w rzeczce Skawie się przegląda.

Mała pastuszka stanęła, milczy, tęskność ją opuszcza, lekko robi się na jej duszy, zachwycona, milcząca, gdzie okiem spojrzy, wszędzie pięknie, wszędzie tak ślicznie, jakby w raju, serce jej bije od wzruszenia, pada na kolana, składa drobne rączki, wyciąga je ku niebu i sama jedna nad rzeczką na dolinie, przy spokojnych gąskach, wyrywającemi się z duszy takiemi odzywa się słowy:

,,O mój Boże! jak tu ślicznie, jak tu dobrze; mój Panie! czy w niebie też tak pięknie i tak dobrze, jak tu na dolinie!"

Aż tu naraz pod gajem spostrzega dach lichej kapliczki; wstaje, i ona, co nigdy nie ciekawa, i ona, co nigdy się nie śpieszy, pędem teraz bieży ku kapliczce, bieży gołą nóżką po świeżej trawie, po chłodnej rosie, po nad rzeczką przez pole, przez piasek, już nie wątpi, że to kapliczka, bo już krzyż na dachu widzi; ale jakże wnijść do tej kaplicy? Wszędzie kamienie, ciernie i wysokie zielsko drogę zasłały. Śliczna a odważna Halusia niezraża się, krzaczki nagina, pokrwawioną rączką łamie już ostatnią łodygę, wyrywa się z zielska i wchodzi do kapliczki; ołtarz zawalony, ale na zawalonym ołtarzu stoi krzyż, a na tym krzyżu Zbawiciel. Dziecina pada na kolana, drobne rączki składa na piersiach, niebieskie oczki łzami zalane podnosi do krzyża i wdzięcznym a żałośnym głosem tak zawołała:

,,Mój Jezu kochany! Tak Cię tu samego zostawili! — czy nikt Cię nie pilnuje? — czy nikt z Tobą nie rozmawia? Tak Ci tu smutno, mój Panie, i ciemno, i głodno! Już Ci tak nie będzie, mój Jezu kochany! Ja Cię tu ubiorę, ja Cię nakarmię, ja Cię kochać będę, ja się będę z Tobą bawić i płakać chcę z Toba."

A dnia drugiego mała pastuszka włożyła już białą koszulkę na boski wizerunek Zbawiciela, sama koszulkę uszyła za gąskami, uzbierała najpiękniejszych kwiatków na łące, uplotła z nich śliczny wianek, zawiesiła go na cierniowej koronie Zbawiciela, kapliczkę zamiotła, ołtarz wonnemi kwiatkami posypała i postawiła na nim w koszyczku przed krzyżem uzbierane w gaju jagody i połowę swego chleba, a potem usiadła na progu i czekała, patrząc na gąski, a gdy słońce zachodziło i cień w kapliczce padał na wizerunek Pana Jezusa, powstała, mówiąc:

,,Dobra noc Ci, mój Panie; wrócę jutro i wrócę pojutrze; zawsze przy Tobie i z Tobą zostanę, mój Jezu kochany, a póki ja żyć będę, już Ci nie będzie ani smutno, ani ciemno, ani głodno."

Potem słodkiem wejrzeniem pożegnała Pana swego i wesoło z gąskami wracała do chatki na wzgórze, do matki, do ojca, do braci, do sióstr i czeladzi; wszyscy mile ją witali.

Tak mała Halusia wiernie danego słowa dotrzymywała; co dzień odwiedzała samotnego Pana Jezusa na krzyżu w kapliczce, a doglądając gąsek, na krzyż patrzała, do Zbawiciela rozmawiała, śpiewała, kapliczkę co dzień zamiatała, na ołtarz co dzień świeże kwiatki sypała i co dzień świeży wianek z najpiękniejszych kwiatów Panu Jezusowi przynosiła. Często, bardzo często, przychodząc w południe do kapliczki, zastawała w niej siwego staruszka, pielgrzyma, lub ubogiego, który się modlił przed krzyżem, a dziecinie dzięki składał za niespodziane posilenie, za chleb i jagody. Wtedy tak się lubo robiło na sercu małej pastuszce, jakby Pan Jezus wstępował do jej duszyczki, jakby nie na ziemi, ale w niebie była, i bardzo szczęśliwa powracała z gąskami do chatki na wzgórze.

Tak Halusia całą wiosnę i całe lato ganiała gąski w zielone pole nad modrą rzeczką i odwiedzała Pana Jezusa w kapliczce. Przyszła już późna jesień: listki z drzewa opadły, drzewa stały nagie, smutne, kwiatki okwitły, już nie było z czego wić korony dla Pana Jezusa, trawki więdnąć i żółknąć poczęły, dzikie gęsi czując zbliżającą się zimę, odlatywały długiemi rzędami do cieplic, w powietrznej drodze pogęsując, i skowronki już śpiewać przestały, i pszczółki już po słodycz z kwiatków na dolinę nie przelatywały, motyle znikły i muszki różne już się w kryjówki pochowały, i niebo zbladło i słaneczko zbladło, a chmury i mgły nad doliną często wisiały, wysokie Karpaty śniegiem pokrywać się poczęły, zimny wiatr dolatywał; smutno zrobiło się na dolinie, ciepło latowe znikło, a zima już zaglądała.

Troskliwa matka, by się jej Halusia nie zaziębiła, gdy ta raz wypędza gąski z podwórza, tak do niej rzecze:

,,Moje dziecię, wiatr zimny wieje, trawy więdną, liście z drzewa opada, minęło lato, zima się zbliża, nie będziesz więc gąsek w pole ganiała, dziś już ostatni raz je wypędzisz."

Halusi liczko rumiane pobladło i drżącym głosem zapytała:

,,Mamusiu, a kiedyż znowu będę gąski w pole ganiała?"

,,Na wiosnę dopiero, moje dziecko."

Pobiegła Halusia do chaty, otworzyła skrzynneczkę swoję, wyjęła z niej kilka czerwonych jabłuszek, włożyła je do koszyczka razem z kawałkiem chleba, w drobną rączkę wzięła gałązkę czeremchy i poszła smutna i zapłakana za gąskami w pole nad rzeczkę. Gąski zostawiła nad wodą, w jednę rączkę wzięła koszyczek z jabłuszkami czerwonemi i chlebem, a drugą rzęsiste łezki ocierała i pobiegła do kapliczki. Wszystko jej się teraz smutniejszem wydawało: i dolina smutniejsza, i rzeczka Skawa smutniejsza, i niebo smutniejsze, i słoneczko smutniejsze i kapliczka smutniejsza.

Wszedłszy do kapliczki, jeszcze jej się bardziej na sercu smutno zrobiło, więc płacząc i łkając, tak się odezwała:

,,O mój miły Panie! czy Ty wiesz, co się dziś stało? czy ty widzisz, jak ja płaczę? ale płacz mi nie pomoże, muszę matki słuchać; już ja do Ciebie nie wrócę, mój Jezu kochany, już ja nie wrócę! całą zimę nie wrócę! znowu Ci Panie będzie smutno i zimno i ciemno! ostatni raz przynoszę Ci jabłuszka moje i ciepłą sukienkę na zimę!"

A odwiązując sukmanę zimową, zdjęła ją z siebie, zawiesiła na krzyżu, otuliła nią Pana Jezusa, potem cały dzień bardzo wzdychając i lamentując, żegnała z żalem ulubionego swego jedynaka, towarzysza w polu za gąskami. Już się ciemnieć poczęło, już wysokie Karpaty czarnym cieniem się pokryły, już i w kapliczce się zaciemniło, a Halusia stała na progu i odejść nie śmiała. Wtem pod sklepieniem kapliczki odzywa się głos tak wdzięczny, tak cichy, pełny i anielski, że dziewczynka zadrżała. Wyraźnie usłyszała, jakby z nieba wołanie: ,,Halusiu! Halusiu!"

Bez trwogi podnosi dziecię niebieskie oczki, patrzy na wizerunek Zbawiciela i czeka.

Wtem się odzywa jakby niebieski głos dźwięczny:

,,Córko moja! na mnie teraz przyszła kolej poczęstować ciebie i ustroić. Zapraszam cię jutro do siebie na królewską ucztę, królewskie dam ci szaty, przy mnie siedzieć będziesz. Czy przyjdziesz, córko moja?"

,,O przyjdę, przyjdę mój Jezu," zawołała Halusia, ,,ale gdzie mi każesz iść, mój Panie, czy tutaj do kapliczki?"

,,Do nieba, córko moja," odezwał się głos pod sklepieniem kapliczki, głos jakby z obłoków, ,,chceszli być u mnie, to umrzeć musisz."

,,O ja chcę umrzeć i iść do ciebie, mój Boże!" zawołała Halusia.

Idzie mała pastuszka wolnym krokiem za gąskami do domu, paluszek drobny trzyma na czole, niebieskie oczy spuściła ku ziemi, małemi stopeczkami biegnie po chłodnej trawie i rozmyśla w czystej swej duszyczce. Na wdzięcznem jej liczku radość dziwna jaśnieje.

Już się ciemno zrobiło, kiedy wpędzała gąski na podwórek; wchodzi do izby, ogień się pali na kominie, matka się krząta około wieczerzy, a ojciec, bracia, siostry i czeladka siedzą za stołem, odpoczywają po dziennej pracy, czekają na posilenie. Mile przywitał sędziwy ojciec Halusię i posadził ją przy sobie za stołem. Dziecina oparła główkę na ramieniu ojca i cichym głosem te słowa do ucha szepnęła:

,,Nigdym cię, tatko, o nic jeszcze nie prosiła; przyrzeknij mi, że mi nie odmówisz, o co cię dziś prosić będę."

,,Przyrzekam ci, przyrzekam, moja Halusiu", rzecze zdziwiony ojciec.

,,O nie mów tak głośno tatko, by mamusia nie słyszała mojej prośby" i ciszej jeszcze szepnęła ojcu na ucho: ,,Daruj mi tatko trumienkę, masz suche deski gotowe, więc mi zrób jeszcze dziś ten domeczek — to jest pierwsza i ostatnia moja prośba."

Ojciec radby się uśmiechnąć, radby w żart tę mowę obrócić, ale Halusia poważnie i z litością spojrzała na matkę, złożyła rączki jakby do modlitwy, i niebieskiemi oczkami patrzyła na ojca, jakby go błagała; a w oczkach łezka zabłysła.

Więc ojciec powstał z ławy, wziął toporek i wyszedł smutny. Halusia pocałowała braci i siostry, uścisnęła matkę za nogi i uklękła do paciorka; wszyscy już spali, a ona jeszcze klęczała i modliła się.

Na drugi dzień przed świtem stoi w komorze trumienka; Halusia już wstała, oblekła białą sukienkę, włożyła wieniec zielony na swe złote włoski i czeka, aż się rodzice przebudzą. Gdy się ocknęli, zbliża się do nich i jak zwykła robić co rano, rzecze: ,,Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus." Rodzice odpowiedzieli: ,,Na wieki wieków. Amen."

Klęka potem przed ojcem, przytula główkę do niego, wesoło się uśmiecha i mówi: ,,żegnam was, drogi ojcze, Jezus mnie zaprosił do siebie na królewską ucztę; już ja z wami za stołem siadać nie będę, usadził mię Pan Jezus przy sobie; nie płaczcie tatko, ja was w niebie oglądać będę."

Klęka potem przed matką, przytula główkę do jej łona, przymila się do niej, a podniósłszy błękitne swe oczki, rzewnemi słowy się odzywa: ,,żegnam was, matko droga, już ja z wami mieszkać nie będę; już wam nie będę pomagała i gąsek w pole wyganiała po zimie; Pan Jezus mię do siebie zaprosił; nie płaczcie mamusiu; czekać was będę w niebie, bo ja tam pójdę na ucztę królewską; sukienek już mi szyć nie będziecie, ani białych prać koszulek, bo mnie Pan Jezus w królewskie szaty ustroi; żegnam was matko i ojcze."

Zdumiony ojciec spojrzy na matkę i nie wie co mówić, a zdumiona matka spojrzy na ojca i milczy;

nie mogą słowa przemówić, tak im ciężko na sercu; oczy ich zalały się łzami. Wcale nie wiedzą, co to znaczy. Często Halusia tak dziwnie mówiła, że jej nie pojmowali; ale jeszcze nigdy im tak smutno, tak żałośnie nie było jak dzisiaj. Stoją i płaczą i nic do siebie nie mówią. Halusia po cichu wyszła do komory i lekko drzwi zawarła. Już zadumany ojciec zabiera się do dziennej pracy, już zapłakana matka krzątać się zaczyna po izbie, aż tu gdy mają zacząć poranne modlitwy z dziatkami i czeladką, słyszą w komórce anielskie pienie, a głosy z nieba wdzięcznie wtórują. Matka struchlała, ojciec zadrżał, dzieci i czeladkę trwoga ogarnęła. Chwiejąc się na nogach, otwiera matka drzwi do komory i widzi Halusię swą ukochaną w trumience leżącą z zielonym wiankiem na głowie; liczka bledziuchne jak śnieg, oczki zamknięte, rączki bieluchne na piersiach na krzyż złożone, usteczka martwe, ale tak uśmiechające, tak anielskie, jakby przemówić chciały: „Nie smućcie się, mnie tak dobrze w niebie z Panem Jezusem."

„O Boże!" krzyknęła matka żałośnie, „umarła! już umarła moja najukochańsza Halusia! myśmy jej nie byli warci, ona była z nieba i tam poszła!" Z załamanemi rękoma padła nieboga od żałości i bólu na ziemię.

„Niewiasto!" zawołał mąż, podnosząc ją z ziemi, „tyś była matką anioła!.... Ty matko anioła! bądź teraz moją siostrą, moją panią!"

Wśród zielonej doliny u stóp wysokich Karpat płynie jeszcze rzeczka Skawa, jak płynęła przed laty; stoi jeszcze piękne wzgórze, jak stało przed wieki; ciemnią się jeszcze Karpaty i wieże krakowskie jak dawniej, ale niema tam już ni onej wioski na wzgórzu, ni owej chaty wśród zielonych grusz i jabłoni, ni owej kapliczki na polu. W proch się już rozsypały zwłoki Halusi, tylko brzoza na jej mogiłce co rok zielonem liściem się odziewa, a na tej brzozie czasem polny ptaszek usiędzie i zaśpiewa, jak bywało onego czasu, kiedy Halusia gąski pasała w dolinie nad rzeczką.

WIEŚCI ZE ŚWIATA

Jenerał Palicyn stanowczo ustępuje ze stanowiska prezesa dyrekcyi teatrów warszawskich. Dymisyę swą zawdzięcza intrygom pani Hurkowej i jej otoczeniu.

Zaproponowano mu albowiem ze strony jenerał-gubernatora Hurki, aby ustąpił z posady prezesa Rady zarządzającej kolei warszawsko-wiedeńskiej, lub też z teatru. Swoją drogą, dano mu poufnie do zrozumienia, że rząd życzy sobie, aby zatrzymał posadę prezesa kolei, a ustąpił zupełnie z teatru, co się też i stało.

Na jego miejsce, jak już wiadomo, powołano tryumwirat, złożony z pp. Jankulja, pułkownika Karantjewa i Buyny, Polaka, bardzo mile widzianego w otoczeniu zamkowem. Jankuljo jednakowoż nie chce przyjąć godności tryumwira, gdyż stara się o posadę gubernatora kaliskiego. Pozostanie więc Karantjew i Buyno, jako jego doradzca. Ani jeden, ani drugi nie ma pojęcia o prowadzeniu teatru, obydwaj jednak dobrze są znani w sferach baletowych i jest wielka nadzieja, że pod ich kierunkiem sztuka choreograficzna szeroko się rozwinie.

Co do opery polskiej, to dni jej są już policzone.

Dramat i komedya będą utrzymane dla tej jedynie przyczyny, że ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu stanowczo się sprzeciwiło zaprowadzeniu rosyjskiego teatru w Warszawie, tak ze względów finansowych, jak i z powodu braku odpowiednich sił artystycznych rosyjskich.

Z nad granicy rosyjskiej donoszą, że trzech polskich dezerterów wojskowych, którzy do Prus schronić się chcieli, zostało przytrzymanych przez straż rosyjską. W walce, która z tego spotkania się wywiązała, padł jeden z dezerterów na miejscu, dwaj inni ranni uciekli. Zabity jest synem bogatego kupca kowieńskiego, a znaleziono przy nim złoty zegarek i 5000 rubli. Jednego z ranionych zbiegów odkryto w dniu następnym niedaleko leśnictwa Schoenhof na pruskiem terytoryum bez życia.

Z Litwy piszą do gazet krakowskich:

Wiadomości z naszej nieszczęśliwej krainy zapewne sprawią wam ból serdeczny, bo rzeczywiście dzieją się u nas bezprawia, jakich wy tam nie znacie. Od r. 1863 nie ustało zupełnie prześladowanie, system Murawiewa trwa w pełnej swej sile. Obok prześladowań i widmo blade głodu ukazuje się nam w przyszłości, urodzaje bowiem nieszczególne, straszna susza, choć nie brak burz i huraganów, jak to miało miejsce niedawno. Burza zniszczyła oniemal całkowicie majętność Kojowszczyznę, niegdyś należącą do Oskierków a dziś do zacnego pana Sergiejewskiego, kuratora wileńskiego okręgu naukowego.

Pan ten, to prostak, były nauczyciel ludowy, nie posiadający zgoła wyższego wykształcenia. Karyerę swoją i dzisiejsze stanowisko zawdzięcza on Murawiewowi, za łamanie i usuwanie krzyżów katolickich a stawianie prawosławnych, co w byłym gubernatorze Litwy obudziło dla nikczemnego człowieka niezwykłe uwielbienie.

Z powodu zakazu wywozu zboża, handel zupełnie u nas ustał, o pożyczkach w bankach mowy być nie może. W głębi Rosyi zboże daleko tańsze niż u nas, ale cóż z tego, kiedy kupcy korzystając z taryf obniżonych, przewożą je do Królestwa Polskiego, żarabiajac co najmniej po kilka kopiejek na pudzie. Tym sposobem brak zapasów i stan rolnictwa naszego smutny, bardzo smutny, a katastrofa głodowa prawie nieunikniona.

Papież dozwolił katolikom Czarnogóry używać starosłowiańskiego języka cerkiewnego przy obrzędach liturgicznych. Nowe mszały, już wydrukowane przez drukarnię Propagandy, odejdą w tych dniach z Rzymu do Czarnogóry. Postanowienie to ma zasadnicze znaczenie dla południowych Słowian.

Afryka. Wielkie roje szarańczy ukazały się znów w prowincyi Oran, jak donoszą z Tunisu, tak że cała północ Afryki znów znaczne poniosła szkody. Niebezpieczne owady mniejszemi rojami zbliżyły się nawet pod miasto Algier. Pociąg kolejowy, który 15 z.m. jechał z Ajgieru do Affreville, został w drodze, między miejscowościami Bu Medsa i Aidelik przez szarańczę wstrzymany. Owady w takich masach obsiadły szyny, że koła lokomotywy pokryły się stopniowo gęstą, miękką papką, co uniemożliwiło dalszą jazdę. Lokomotywa nagle stanęła i pociąg przybył na następną stacyę z opóźnieniem 2¼ godz.

W Krakowie budują nowy teatr, a okoliczności towarzyszące tej budowie są naprawdę ciekawe i pouczające. Kiedy uchwalono w swoim czasie budowę nowego teatru na placu Ś-go Ducha — skazano równocześnie na zburzenie gmach poszpitalny Ś-go Ducha, a tylko znajdujący się tu kościołek miał zostać od zagłady wyjętym. Miało tak być, lecz stało się inaczej, a stało się tak jak chciał żyd, „doktor medycyny" i „członek rady miejskiej", pan Kohn. Zburzyć tę ruderę, ten jakiś tam kościołek! —zawołał na posiedzeniu rady ów „obywatel mojżeszowego wyznania" i większość obradująca, pochyliwszy przed wnioskiem żyda głowy, przekazała go (to jest wniosek, nie żyda) do zbadania komisyi teatralnej. Aliści i w komisyi znalazł się żyd inny, „pan wiceprezydent" Friedlein — i stało się znowu to co tenże żyd zadecydował, a zadecydował on naturalnie nic co innego, jeno to samo, czego żądał żyd tamten, to jest zburzenie i zniesienie kościołka. I nie pomogła nic już opozycya, nie pomogło gorące przemówienie ks. Chotkowskiego, powołującego się na fakt, iż część ta gmachu, skazana na zburzenie, nie jest własnością gminy, lecz własnością Kościoła. Panowie Kohny i panowie Friedleiny zawołali ponownie—z klasyczną bezczelnością — zburzyć!—no i większość członków rady poszła za ich wolą.

Mimo wszakże to wszystko i mimo całej uległości dla żydów, zdawać się mogło przez chwilę, że kaplica zostanie uratowaną. Oto bowiem wdaje się w tę sprawę Matejko i w liście wystosowanym do pana prezydenta miasta, prosi o oddanie mu szczątków na usunięcie skazanych. Po odrestaurowaniu ich, Matejko pragnął mieć tam pracownię, a na dole mieszkanie dla siebie i dla swoich dzieci.

Ten dom artysty—jak pisze „Słowo"— ta świątynia sztuki przegradzałaby teatr od kościoła Ś-go Krzyża i nie byłoby w takim razie słychać operetki w kościele a organów w teatrze.

Ale i nad życzenie Matejki okazała się silniejszą wola żydów, albowiem rada miejska postanowiła wytrwać przy uchwale—i kościołek się burzy.

Czy jednakże myślicie, że na tem już przynajmniej koniec? Wcale nie. Oburzony do głębi duszy tą swawolą Kohnów i Friedleinów Matejko, rzucił wyraz: „nikczemni", i nowy wszczyna się gwałt! Niema dziś liberalno-semickiego organu, któryby nie lżył i nie szarpał znakomitego artysty, a taki dajmy na to „Przegląd Tygodniowy" w Warszawie, już w drugim z rzędu N-rze, „k a r c i" jego nietakt—ba, nawet z u c h w a l s t w o! Ależ, naturalnie!—i zuchwalstwo i nietakt!— Zuchwalstwo, albowiem w kraju, w którym figurą najważniejszą jest Juda, nawet Matejkowie powinniby chylić przed nim karki: a jest także i nietakt, gdyż wszelkie tego rodzaju „wyskoki opozycyjne", rozdrażniając „obywateli mojżeszowych", psuć mogą „jedność" i „asymilacyę"... Gdyby na miejscu obywateli krakowskich, znalazł się niemiec, anglik, lub nawet lekkomyślny francuz, i gdyby usłyszał nastawanie żyda na zburzenie świątyni chrześcijańskiej — odpowiedziałby mu z pewnością krótko ale dobitnie: zniszczyłeś wszystko już podstępem, oszukaństwem i lichwą, niechże więc od kościołów przynajmniej naszych będzie ci zasię, przybłędo! W Galicyi atoli, w tej, jedynej w swoim rodzaju, krainie wszechwładzy Izraela, obok nędzy i poddaństwa chrześcian, niktby się na odprawę taką nie zdobył; byłby to, mówię, nietakt, niezgodny z ideą „braterstwa i jedności" z żydami. Gdyby ktoś z chrześcian zażądał zburzenia, dajmy na to, bóżnicy, zatrzęsłaby się z oburzeniem i grozą Galicya cała — ba... cała l i b e r a l n a i t o l e r a n c y j n a monarchia Habsburgów; ale gdy na rozkaz żyda burzy się kościół katolicki, protestów być nie może. Zaprotestował Matejko i został znieważonym; czyli, że z całej tej sprawy płynie nadzwyczaj jasny sens moralny: Gdzie, jak w Galicyi, najgłupsza z wszystkich manij — mania „uobywatelenia" żywiołu, którego każde społeczeństwo rozumne pragnęło zawsze i pragnie się pozbyć,—gdzie, mówię, mania ta—stanowiąca istną karę Bożą—weźmie przewagę nietylko nad rozsądkiem, lecz nawet nad instynktem samozachowawczym, tam ludziska, choćby im ktoś milion razy rzucał słówko: nikczemni,— nie odczują już ani tej nikczemności swojej, ani swojej hańby. Wszystko tam już zanikło, prócz głupoty i prócz czci dla żyda, czy dla jego złota.

A że tak jest już dzisiaj na ziemi galicyjskiej, świadczy inny fakt jeszcze, wzięty również z dziejów budowy wspomnionego teatru. Architektów zdolnych nie brak jest podobno; ojcowie jednak Krakowa, nie widząc zdolności tych gdzieindziej jeno wśród synów plemienia ukochanego goręcej, niźli plemię własne, budowę teatru powierzyli panu—Feintuchowi. Wprawdzie ów pan Feintuch nie jest już nim pono; zmienił on i nazwisko odziedziczone po swych przodkach, nazwawszy się polakiem(!), Zawiejskim, ale wszystkie te zmiany nie wyrugowały z niego przekonania, że tylko to jest i to może być dobrem, co wychodzi na pożytek żydów, a na szkodę „goimów." Objąwszy tedy budowę teatru, dawny Feintuch każe sobie pójść precz świeżemu panu Zawiejskiemu i odrazu wszystkie niemal roboty zyskowniejsze przy teatrze dostają się— łatwo zgadnąć komu — żydom albo niemcom. A Ojcowie miasta co też na taką gospodarkę Feintuchów? Ba, cóżby mogli, biedacy, cóżby śmieli im zrobić! Co prawda, wśród rzemieślników nie-żydów i nie-niemców dał się słyszeć pewien szmer niezadowolenia; pojawił się też podobno jakiś protest głośniejszy, lecz, wobec polityki dogadzania żydowstwu—wszystko to nie przydało się na nic. Dla ojców miasta jeden Feintuch wart więcej, niż setki rzemieślników polskich, bodajby najlepiej wykwalifikowanych. I prowadzi sobie tedy pan Feintuch dalszą swą gospodarkę, marząc o sławie, o zaszczytach, no i o tytule, rzecz prosta, jeźli nie hrabiego, to co najmniej barona. Wszakże w nieporównanej krainie galicyjskiej, kiedy idzie o faktycznych jej władców: o synów Izraela, wszystko jest możliwem, boć wszystko tam uśmiecha się do nich;—wszystko śmieje się tam do Kohnów, Feintuchów i Friedleinów takiem szczęściem i taką pomyślnością, jakiej sam „baron" Hirsch, chociażby wydał wszystkie swe miliony, nie zdołałby im stworzyć.

W ł o c h y. Rząd ma tyle biedy i kłopotu z rządzeniem kraju i z ministrami, a jednak jeszcze znajduje czas na prześladowanie Kościoła, księży i wszystkiego, co ze Stolicą Papieską ma jaką styczność. Nieboszczyk Papież Pius IX kazał na cmentarzu postawić pomnik na cześć żołnierzy, co w walce z Garibaldim za wolność i prawa Ojca św. polegli. Słychać że rząd chce skasować ten pomnik. Nie dość rządowi, że żywych prześladuje, ale nawet pamięć zmarłych i kamienne pomniki niszczy dla tego pewnie, ponieważ go ciągle w oczy żgają jako pamiątki z czasów wolności Papieża i ciągle mu przypominają, że Ojca św. okradł.

G a z e t y francuzkie donoszą z Neapolu, iż cud z krwią św. Januarego odbył się w dniu właściwym. Zauważono, iż zaledwie tylko arcybiskup wziął w ręce ampułkę z świętą relikwią, zeschła krew szybko zaczęła topnieć, a wkrótce wrzeć w sposób nadzwyczajny: podnosiła się kłębami i napełniała całe naczynie. Według starożytnej tradycyi zapisanej wierszem łacińskim w jednym ze starszych rękopisów biblioteki katedralnej neapolitańskiej, podobne wrzenie ma być przepowiednią wielkich klęsk. Oto podanie owo: Jeśli krew staje się bardzo czerwoną, to znak wojny.

Gdy mocno wrze, będzie wybuch Wezuwiusza.
Gdy czernieje, gwałtownie wróg nas napadnie.
Gdy poprostu tylko się rozplynie, wylewy grożą.
Gdy gwałtownie twardnieje, chybią urodzaje.
Gdy się kotłuje, grozi nieszczęście.
Gdy jest bladą, spadnie zaraza.
Gdy wreszcie się zapieni, cieszyć się należy, nam fausta canit—gdyż szczęście wróży.

KARTKI DLA NAUKI.

Wielbłąd w pustyni.

(Ciąg dalszy.)

Uwagi, jakie robi tenże sam podróżnik o ilości zużywanej wody przez karawany, wykazują najdobitniej, że przebywanie pustyń bez pomocy wielbłąda, byłoby zupełnem niepodobieństwem. ,,Europejczyk, powiada, z trudnością wyobrazi sobie, ile tu potrzeba wody aby ugasić pragnienie, podniecane potrawami po większej części z miodu i masła składającemi się, gdy obok tego skwarne powietrze ciągle suszy podniebienie. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że ja sam po obiedzie często na raz tyle wody wypijałem, ile mieści się w dwóch zwyczajnych butelkach. Liczy się w ogólności jeden worek skurzany, obejmujący 50 do 60 funtów wody, na trzy dni dla jednego człowieka i to tylko przy tych ograniczeniach, jakie są w zwyczaju w Arabskiej i Nubijskiej pustyni, gdzie każdy wtenczas tylko pije, kiedy cała karawana w tym celu zatrzyma się na kilka minut. — Inaczej ściągnąłby na siebie przydomek niewieściucha trzymającego wiecznie wór z wodą przy ustach."

Drugi podróżnik, kapitan Lyon, powiada: że jeżeli w Afryce zdarzają się konie przy karawanie, to dla każdego z nich biorą oddzielnego wielbłąda, jedynie do dźwigania tylko zapasu wody, potrzebnej dla konia. Tak to mało liczyć można na cysterny i źródła gdzieniegdzie znajdujące się w pustyniach, które podróżny najczęściej napotyka próżne lub wyschłe i dla tego wszystkie inne zwierzęta juczne, nie mogące się obejść bez napoju przez wiele dni jak wielbłąd, nie byłyby w stanie nieść na sobie potrzebny zapas wody dla siebie i dla człowieka.

Wielbłąd jak do obywania się długi czas bez napoju, uzdolniony jest równie w zadziwiający sposób do znoszenia głodu. Jest to wielu doświadczeniami sprawdzonem, że garb jego z tłustej massy złożony, w czasie kiedy wielbłąd obfite ma pożywienie, niezwyczajnie wzrasta, w razie zaś braku przez długi czas pożywienia, maleje, a nawet zupełnie ginie; można więc przyjąć za rzecz pewną, że wówczas zwierzę to żyje tłuszczem w garbie mieszczącym się, który stanowi dla niego rodzaj spiżarki zapasowej. Nadto wielbłąd nawet w pustyni znaleść może dla siebie miejscami pożywienie, albowiem to, co najuboższa natura dać może, jest dla niego pożywnym posiłkiem. Osty, pokrzywy, różne kolczaste rośliny, drobne krzaki, kora drzewna, do której żucia ma przydatne zęby, poszukuje wielbłąd tam nawet, gdzie są w obfitości bujne pastwiska i skutkiem tego zrządza znaczne szkody w urządzonych gospodarstwach, w razie niedostatecznego dozoru; za pomocą zaś rozdwojonej górnej wargi, może równie jak owca, zachwycić z ziemi najlichsze źdźbło trawy.

Te dziwne przymioty, jakiemi obdarzony został od natury wielbłąd, pod względem wytrwałości na głód i pragnienie, nie byłyby jednak dostateczne do zrobienia go, jak się trafnie Arabi wyrażają: okrętem pustyni, gdyby zwierzę to nie otrzymało w darze od natury małą w ogólności potrzebę snu i szybki krok z powodu długich nóg i stosunkowo szczupłej budowy ciała. Szybkość ta nadzwyczajna, przyczynia się jedynie do skrócenia czasu podróży, a tem samem i do zmniejszenia jej niebezpieczeństw. Żeby wielbłąd mógł z łatwością chodzić po piasku, natura dała mu pod stopami wypukłości pokryte twardą skórą; które jakby sprężyste poduszki naginając się, łączą z sobą dwa palce stopy. Żeby zabezpieczyć skórę jego w tych miejscach, na które spada cały ciężar ciała i ciśnie o rozpalony grunt piaszczysty lub kamienisty, w czasie przeżuwania, spoczynku lub snu, natura dała mu na piersiach, w dwóch miejscach na przednich nogach i w jednem na tylniej nodze, rogowe, twarde narośla.

Żeby zaś chronić go przed tumanami piasku pędzonego wiatrem w pustyni, zasypującego często lub duszącego całe karawany, ta sama Opatrzność obdarzyła go zdolnością zamykania nozdrzy i wstrzymywania oddechu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

,,Sokół" czy ,,Niedźwiedź"? W Szczutku czytamy:

Harazd.... praźnik!... Nowina
Krążyć w Rusi poczyna.
Ach wiadomość jej miłą
Niesie w szpaltach swych Diło...
To nie żarty, mosanie,
Sokół ruski powstanie,
Tylko zamiast ,,Sokoła"
Inne miano powoła...
Będzie —jak się wam wyda?—
Nosił nazwę ,,medwida"
I w sprzeczności z Sokołem
Nie zakrzyknie już ,,Czołem",
Jeno, bo to przystało
Na niedźwiedzia czerń śmiałą,
Jako odzew huknie tu:
,,Bu-u, bu-u, bu-u!"

* * *

Nowy sposób kremacyi, prostszy i szybszy znacznie od stosowanego dotychczas, wynaleziony został w Philadelphii. Zwłoki owinięte w całun, kładą się na płytę ceglaną; do rąk i nóg nieboszczyka przytwierdzane zostają dwie płyty miedziane, które tworzą dwa bieguny elektryczne machiny dynamicznej i puszcza się strumień elektryczny na ciało, odgrywające niejako rolę węgla w lampie elektrycznej. Proces spalenia ciała dokonywa się w przeciągu nader krótkiego czasu.

* * *

Ciekawe doświadczenie. Lekarz francuski, Dewere, niezwyczajne temi czasy zrobił odkrycie. Pewien wypadek suchot, nabytych skutkiem zarażenia się, nasunął lekarzowi myśl poddania badaniom pluskiew wielce mu podejrzanych. Wynik doświadczeń przeszedł wszelkie oczekiwania. Szczury, króliki i świnki morskie, w jakikolwiek sposób wprowadzone w styczność z pluskwami, zaludniającemi pokój chorego na suchoty, po krótkim już czasie stawały się tuberkulicznemi i ginęły zarażone.

Nadesłane.

Chicago, 27 Czerwca 1892 r.

Do Szan. Redakcyi „Niedzieli.“

Z inicyatywy Towarzystwa Polonia Gr. 91 Zw. Nar. Pol. w Chicago, odbędzie się w dniu 28 Sierpnia r. b. w Kuhn's Parku przy Milwaukee Ave. piknik połączony z loteryą fantową. Dochód z pikniku tego przeznacza się na powiększenie funduszu budowy pomnika nieśmiertelnej sławy Tadeusza Kościuszko. Mamy nadzieję, że wszystkie Towarzystwa polskie zechcą się połączyć z Towarzystwem Polonia w tem celu, aby uczcić pamięć wielkiego Tadeusza Kościuszko i przyczynić się do powiększenia funduszu na pomnik. Każdego Rodaka upraszamy niniejszem o ofiarowanie różnych przedmiotów na wygrane, albo przeznaczenie drobnych chociażby datków na zakupienie fantów. Nadsyłać można pieniądze i fanty na ręce następujących członków komitetu: Adam Majewski, 664 Noble st., Józef Piątkiewicz, 21 Emma st., Dr. F. Ekowski, 103 W Division st., Stanisław Popek, 120 W. Division st., L. Januchowski, Chicago Ave. róg Leavitt st., Józef Graczyk, 680 Noble st., Z. Fr. Czapliński, 685 Milwaukee Ave.

Każdy ofiarodawca będzie kwitowany w tutejszych gazetach. Po bliższe szczegóły, tyczące się powyższej sprawy można się zgłosić do sekretarza Tow. Polonia, Dyonizego Ekowskiego, 557 Noble st.

Komitet.